

# UKŁAD



Magdalena Adamek

# UKŁAD





## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tomek jak burza przemknął przez sekretariat, wprawiając w osłupienie sekretarkę, i wpadł do swojego gabinetu, zatrzasnąwszy za sobą z furją drzwi.

Wściekłym ruchem zdjął z siebie marynarkę, a następnie rzucił ją na poręcz fotela. Niestety nie trafił i marynarka spadła na podłogę. Machnął ręką, nie ruszył się z miejsca, żeby ją podnieść. Miał wrażenie, że za chwilę się udusi. Rozluźnił krawat i rozpiął górny guzik białej koszuli.

Kawy! Potrzebował kawy! Dużo, dużo kofeiny, żeby się trochę uspokoić.

Chociaż zbyt duża dawka kofeiny może jeszcze bardziej pobudzić niż uspokoić.

Usiadł w fotelu, odchylił się do tyłu i wyciągnął przed siebie długie nogi.

Albo też papierosa w tej chwili by zapalił dla uspokojenia. Wprawdzie rzucił ten nałóg siedem lat temu, ale jeden by chyba nie zaszkodził. Zaciągnąłby się głęboko w płuca dymem i pewnie by go to uspokoiło. Zdusił jednak w sobie chęć zapalenia papierosa i nerwowo bębnił palcami w blat biurka.

- Cholera jasna - zaklął wściekle.

To nie cotygodniowe raportowanie tak go wyprowadziło z równowagi. Do tego akurat przywykł i nie

robiło to na nim już żadnego wrażenia. Wściekał się z zupełnie innego powodu. Miałby spore szanse na awans. Mógłby zasiadać w zarządzie firmy, ale aby móc to zrobić, musiałby spełniać szereg warunków postawionych przez firmę, a raczej przez członków zarządu. Całkiem spory szereg warunków, szczerze mówiąc. Nie wiedział, dlaczego tych wymogów i całej masy wytycznych trzymano się tak kurczowo, jakby od tego zależało co najmniej czyjeś życie. A jakiegokolwiek odstępstwo lub chociażby małe uchybienie od przyjętej normy bądź reguły było bardzo źle widziane i potencjalny kandydat tracił wszelkie szanse, które były mu pozornie dane.

Miał swoje przypuszczenia, dlatego tak jest, ale zachował je dla siebie.

Jednego z warunków określonych w jakimś wewnętrznym statucie, o którym – tak nawiasem mówiąc – nigdy nie słyszał, niestety nie spełniał. A to całkowicie dyskwalifikowało go i odbierało wiarygodność w oczach członków zarządu, szczególnie jednego z nich. Mianowicie chodziło o to, że nie był żonaty. Co więcej, on nawet nie miał narzeczonej!

Kiedy przypomniał sobie, z jaką wyniosłą miną i niezwykłą pewnością siebie poinformował go o tym małym, ale dość istotnym warunku ten kretyn Grodzki, aż się w nim zagotowało. Trochę jednak utarł mu



nosa, kiedy oświadczył, że od zeszłego roku jest w stałym związku i nigdy nie prowadził hulaszczego trybu życia. Jego mina dobitnie świadczyła o tym, jak bardzo jest zbity z tropu. To było ewidentne kłamstwo, bo żadna narzeczona nie czekała na niego z utęsknieniem w domu, ale mina Grodzkiego była zdecydowanie warta tego drobnego oszustwa.

Grodzki. Na wspomnienie tego nazwiska w Tomku kipiała niczym niepoohamowana wściekłość. Uczucie to dzisiejszego dnia osiągnęło apogeum i nic już nie było takie samo jak jeszcze dwie godziny wcześniej. Konrad Grodzki liczył sobie sześćdziesiąt parę lat i już dawno powinien

był przejść na zasłużoną emeryturę, cieszyć się życiem oraz słodkim nieróbstwem. Jednak bronił się przed nią tak skutecznie, że nadal bardzo aktywnie uczestniczył w życiu firmy i nie pozwalał zepchnąć się na dalszy plan, doprowadzając tym wszystkich do szału, poczynając od szeregowych pracowników, przez dyrektora, a na prezesie kończąc.

Poza oczywistym faktem posiadania żony – od czterdziestu lat jednej i tej samej – oraz dwójki, równie niesympatycznych i wyniosłych jak on sam, synów miał bardzo denerwujący i drażniący zwyczaj uważać, że to on ma zawsze rację, a wszyscy inni są w błędzie. Ponadto jego

konserwatywne poglądy budziły nieustanną irytację Tomka i sprawiały, że od pewnego czasu nie miał najmniejszej ochoty na składanie cotygodniowych raportów. A spotkania, na których oczywiście był obecny Grodzki, stały się dla niego prawdziwą torturą. Jeszcze nie zdarzyła się sytuacja, żeby zabrakło Grodzkiego na spotkaniu. Nawet chory potrafił przyjść. Podejrzewał, że półumierający też pojawiłby się na zebraniu.

Praca przestawała sprawiać Tomkowi satysfakcję i radość jak jeszcze parę miesięcy temu. Brało się to z tego, że Grodzki bardzo ostro krytykował wszystkie pomysły, jakie wysuwał, i sprzeciwiał się im. Niezwykle go to

irytowało i odbierało chęć do pracy, do dalszego działania.

Jaki Grodzki miał w tym cel? Robił to dla samej idei, dla samego sprzeciwu? Czy był też inny powód takiego zachowania?

Nie wiedział i nawet nie próbował się tego dowiedzieć.

Był dyrektorem naczelnym tej firmy i chciał, żeby się rozwijała oraz przynosiła jeszcze większe dochody i zyski.

Na całe szczęście jednak na zebraniach zarządu Grodzki zwykle zostawał przegłosowany i nie pozostawało mu nic innego, jak niechętnie wyrazić zgodę, czysto formalnie tylko, na proponowane zmiany. A zmiany były

konieczne dla rozwoju firmy. W konsekwencji tego jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe, nienawidził ambitnego i pełnego werwy dyrektora naczelnego. Wykorzystywał dosłownie każdą okazję do skrytykowania go. Z całą pewnością więc nie zachwycała go perspektywa pojawienia się wroga numer jeden na swoim własnym terytorium należącym do niego od prawie dwudziestu lat.

Niechęć zresztą była obopólna. Tomek absolutnie nie zgadzał się z metodami pracy Grodzkiego. Uważał je za przestarzałe oraz nieidące z duchem czasu i techniki. A sam Grodzki, jego skromnym zdaniem, zatrzymał się w latach dziewięćdziesiątych

i nawet nie starał się zrozumieć mechanizmów i trybików, które napędzają dzisiejszy świat. Pisanie maili i załatwianie spraw wirtualnie nie mieściło mu się w głowie. Najchętniej napisałby list i wysłał gołębiem pocztowym. Dzisiejsza technika była mu obca i nawet nie starał się tego zmienić. Mógł przecież pójść na kurs obsługi komputera, ale był zbyt uparty na takie rozwiązanie. Lepiej krytykować innych za twórcze myślenie.

Trzeba dodać, że nie tylko jeden Tomek tak uważał. Pozostali, znacznie młodsi, członkowie zarządu szeptali po kątach o konserwatyzmie Grodzkiego, ale nikt nie odważył się głośno o tym dyskutować. Po części

dlatego, że Grodzki nie znosił najmniejszej nawet krytyki pod swoim adresem i niewątpliwie w zarządzie powstałby rozłam. Nic dobrego by z tego nie wyniknęło, a najbardziej ucierpiałaby oczywiście firma.

Sytuacja patowa.

Niestety trzeba było ze spokojem znosić obecność Konrada Grodzkiego.

Oczywiście doskonale wiedział, że Grodzki pozbyłby się go jak najszybciej, gdyby tylko miał taką możliwość.

Tak. Sytuacja zdecydowanie patowa.

Jeden i drugi był nie do ruszenia. Musieli się wzajemnie tolerować. No chyba że sam się zwolni i odejdzie, ale postanowił, że tak łatwo się nie podda.

Co za niedorzeczne warunki! Kto w dzisiejszych czasach wymyśla coś podobnego?!

Nawet przez myśl mu nie przeszło, że brak żony kiedykolwiek przekreśli jego zawodowy awans. Poświęcił tej firmie dziesięć lat swojego życia i właśnie teraz, kiedy droga na sam szczyt wreszcie stała przed nim otworem, został boleśnie sprowadzony na ziemię i przestał bujać w obłokach.

Wściekłość aż go rozsadzała!

Dzisiejsze popołudnie okazało się końcem jego marzeń. Nie mógł wprost uwierzyć, że z powodu jakiegoś głupiego warunku cała jego przyszłość może lec w gruzach.



Czy posiadanie żony ma być wyznacznikiem jego statusu zawodowego?

Przestał bębnić palcami w blat biurka i podparł głowę na rękach.

Czy przez fakt posiadania żony ma stać się innym człowiekiem?

Starał się zrozumieć, dlaczego członkowie zarządu tak koniecznie muszą mieć żony, ale naprawdę nie mógł tego pojąć. Jego mózg odmawiał całkowicie współpracy w tej kwestii. To była jawna dyskryminacja. Czy jako singiel był gorszym człowiekiem? Czy musiał mieć żonę i dzieci, żeby być wzorem cnót?

Co za...? W jego rozmyślania wdarło się głośnie pukanie do drzwi.

- Wejść - powiedział odrobinę za głośno.

Usiadł prosto w fotelu i położył ręce na biurku.

W drzwiach ukazała się rudowłosa kobieta po czterdziestce w granatowym kostiumie z nieodłącznym uśmiechem na ustach.

- Chciałam tylko przypomnieć, że za godzinę powinien pan być w Zielonej Antresoli na spotkaniu z panem Michałowskim.

- Odwołaj to - polecił zdecydowanym tonem.

- Słucham?

- Odwołaj spotkanie - powtórzył.  
Zawahała się przez chwilę.

- Coś nie tak?

- Panie dyrektorze - zaczęła, starannie dobierając słowa. - Nie chciałabym pana pouczać, ale być może powinien pan jednak tam pojechać. Michałowski przyjechał specjalnie z Poznania na spotkanie z panem.

- Wiem - westchnął ciężko. - Powiedz, że jestem obłożnie chory, wyjechałem niespodziewanie dzisiaj rano albo umarłem. Powiedz cokolwiek, ale odwołaj to.

- Dobrze, panie dyrektorze.

- Albo - powiedział po zastanowieniu - przełóż spotkanie na jutro i zarezerwuj mu pokój w najlepszym hotelu, oczywiście na nasz koszt.

- Dobrze, panie dyrektorze - pokiwała z aprobatą głową na taki pomysł.

- Dzisiaj dla nikogo mnie nie ma  
- dodał, gdy drzwi za sekretarką się zamykały.

Usiadł wygodniej za biurkiem. Za-  
głębił się w fotelu, a palcami przecze-  
sał gęste włosy.

Miała rację. Powinien pojechać  
na to spotkanie. Rzecz w tym, że nie  
miał dzisiaj nastroju na żadne bizne-  
sowe spotkania. Zdawał sobie spra-  
wę z tego, że stawia i siebie, i firmę  
w bardzo niekorzystnym świetle.  
W skutek takiego postępowania  
zwiększa się możliwość utraty waż-  
nego klienta, ale mówi się trudno. Był  
zbyt wściekły, by skoncentrować się  
na prowadzeniu spójnej i logicznej  
rozmowy. Wybrał więc – jak mu się

zdawało – mniejsze zło. A poza tym nadal trawił to, co usłyszał dzisiejszego popołudnia.

Nie mieściło mu się w głowie, by jakakolwiek firma ustalała tak idiotyczne warunki. No tak, firma z tradycjami. OK. To był jeszcze w stanie zrozumieć, ale statut? To może i było dobre dwadzieścia kilka lat temu, ale nie teraz, w erze wirtualnej rzeczywistości.

Czy wizerunek firmy ma się poprawić od tego, że ma żonę i dzieci? Ważne chyba było to, jakim jest człowiekiem i czy postępuje w sposób uczciwy.

Dla uspokojenia wziął kilka głębokich oddechów.

Pomogło!

Wściekłość i irytacja powoli ustępowały, a jego mózg na powrót był otwarty na rozsądne i logiczne myślenie.

Hmm... Najbardziej optymalnym wyjściem z tej wręcz absurdalnej sytuacji byłoby oczywiście ożenienie się, ale tu pojawiał się pewien problem, i to dość znaczący.

On po prostu nie czuł potrzeby posiadania żony. Był panem samego siebie. Nie musiał iść na żadne ustępstwa ani kompromisy, bez których nie obędzie się żaden związek. Oczywiście miewał przyjaciółki, ale jak dotąd pozostawał w błogim stanie kawalerskim. I było mu z tym cholernie dobrze.

Obecnie jednak był samotny.

Praca pochłaniała większość jego czasu, pozostawiając go bardzo niewiele innym sprawom. Doba miała dla niego stanowczo za mało godzin. Po powrocie do domu najczęściej późnym popołudniem jadł szybka kolację w domu bądź też zamawiał jedzenie przez telefon na dowóz.

Często sobie żartował, że jego kochanką jest praca, ale taki stan rzeczy w gruncie rzeczy mu odpowiadał. Nie musiał się martwić, że za chwilę usłyszy godzinną litanie pod wszystko mówiącym tytułem: „Za mało czasu spędzamy razem”. I „Czy tobie jeszcze w ogóle na mnie zależy?”.

Chciał oglądać mecz - oglądał mecz, a nie jakiś durny serial, który ma niewiele wspólnego z prawdziwym życiem. Chciał słuchać głośno muzyki - słuchał i nie musiał nikogo pytać o zdanie ani o zgodę. Kiedy potrzebował towarzystwa, dzwonił do jednej ze swoich licznych przyjaciółek i zapraszał do eleganckiej restauracji na kolację. Potem szybki lub powolny seks u niej lub u niego i każde rozchodziło się w swoją stronę. Układ był jasny i prosty. Nikt nie miał złudnych nadziei, nikt nikomu niczego nie obiecywał i nikt nikogo nie wykorzystywał. Oboje miło spędzali czas.

Oczywiście wiedział, że kiedyś się ożeni i będzie miał dzieci, ale to raczej



odległa o całe lata świetlne przyszłość, która była jeszcze dla niego mglista i abstrakcyjna. Na razie miał trzydzieści cztery lata i postanowił skoncentrować się na karierze zawodowej. Tyle że ta kariera zawodowa teraz bezpośrednio związana była z małżeństwem.

Zerknął przelotnie na zegarek. Dochodziła trzecia po południu. Niechętnie spojrzął na plik dokumentów na biurku oraz na komputer. Był zbyt zdenerwowany, by skupić się dziś na pracy, a siedzenie beczynnie w biurze mijało się z celem. Postanowił pojechać do domu. W końcu jest dyrektorem i ma nienormowany czas pracy. W razie czego będzie pod telefonem.

Podniósł z podłogi przy biurku czarną skórzaną teczkę, spakował do niej dokumenty i z trzaskiem zamknął. Być może jak się trochę uspokoi i ochłonie, to będzie w stanie skoncentrować się na papierach. Wstał, pochylił się i podniósł marynarkę z podłogi, przewiesił ją sobie przez ramię i wyszedł z biura, trzaskając drzwiami tak mocno, że sekretarka podskoczyła w swoim fotelu lekko przestraszona.

- Jadę do domu - poinformował.  
- Gdyby było naprawdę coś bardzo, bardzo ważnego, proszę dzwonić.

Wyszedł, nie czekając na reakcję sekretarki. Minął obojętnie windy i zbiegł po schodach na parter,

a następnie skręcił w prawo do tylnego wyjścia. W momencie kiedy nacisnął klamkę i otworzył drzwi, uderzyła w niego tak potężna fala gorącego powietrza, że musiał kilka razy zamrunąć powiekami. Na naszym nieosłoniętym parkingu było jak w nagrzanym do granic możliwości piekarniku.

Spojrzał w niebo. Pełne słońce i ani jednej, choćby najmniejszej chmurki oraz zero wiatru. Temperatura dzisiejszego dnia na pewno przekroczyła trzydzieści stopni Celsjusza. Mógłby się założyć, że gdyby teraz rozbił jajko na masce samochodu, usmażyłoby się w mig. Lipiec w tym roku był bardzo upalny, na palcach jednej

ręki mógłby policzyć deszczowe dni. Lubił ciepło, był ciepłolubny, ale dziś nawet jak dla niego było stanowczo za gorąco.

Przeszedł szybko przez parking i wsiadł do czarnego mercedesa i odniósł wrażenie, że jest w saunie. Oczekał chwilę, przyzwyczajając się do temperatury w aucie, i ruszył z piśkiem opon.

Jęknął przeciągle, wpatrując się w niekończący się sznur samochodów wlokących się w ślimaczym tempie. Zupełnie zapomniał, że to godzina szczytu i ulice Wrocławia będą całkowicie zakorkowane. Kompletnie wyleciało mu to z głowy. Zazwyczaj z pracy wychodził około godziny

siedemnastej, zdarzało się też często, że i o osiemnastej. Wtedy ruch uliczny był niewielki, a dojazd do domu na obrzeża miasta zajmował mu niecałe dwadzieścia minut. Dziś – jeśli dotrze po czterdziestu minutach, będzie dobrze. Czy nic dzisiaj nie pójdzie po jego myśli?

– Jedź, baranie! – Zatrąbił na kierowcę przed sobą. – Bardziej zielone już nie będzie.

Gdyby nadal mieszkał w centrum miasta, dawno byłby w mieszkaniu i raczył się zimnym piwkiem na tarasie. Ale nie mieszkał już w centrum. Rok temu kupił dom na obrzeżach miasta i przeprowadził się. Osiedle było spokojne i ciche, dopiero co powstałe.

Mieszkał w sąsiedztwie lekarzy, prawników oraz sędziów, którzy podobnie jak on mieli dość zgiełku i hałasu, dlatego poszukiwali ciszy i spokoju.

Szczerze mówiąc, centrum miasta zaczęło go męczyć i nużyć. Było za głośne, szczególnie w weekendy. No i miał też dość uciążliwych i ciekawskich sąsiadów chcących za wszelką cenę się z nim zaprzyjaźnić. Zapraagnął mieć własny dom, tylko dla siebie, gdzie mógłby mieć tyle prywatności, ile tylko dusza zapraagnie.

- Wreszcie - odetchnął z wyraźną ulgą, kiedy udało mu się wyjechać z miasta.

Był cały spocony i czuł, że koszula klei mu się do pleców. Prysznic

będzie zbawieniem, kiedy w końcu dotrze do domu. À propos domu, dowiedział się o nim całkowicie przypadkowo. Jego niezastąpiona sekretarka w niezobowiązującej rozmowie napomknęła, że jej znajomy chce szybko sprzedać dom wraz z całym umeblowaniem. Wziął od niej namia-ry zadzwonił, zobaczył... i kupił.

Dom był w sam raz jak na jego wymagania. Na piętrze trzy sypialnie i duża łazienka, na dole kuchnia, druga łazienka – trochę mniejsza niż ta na górze, salon i puste pomieszczenie przylegające do niego. Nie wiedział, co się w nim znajdowało i nie pytał. Urządził w nim gabinet. A na tyłach domu na całej długości znajdował się

taras z wiklinowymi meblami ogrodowymi.

Dodatkową zaletą było to, że dom wybudowano w głębi działki między pasem zieleni z tyłu domu a ogrodem z krzewami, skalniakami i kolorowymi rabatami od frontu. Żadne odgłosy ulicy nie docierały do jego uszu. Cisza i spokój. Teraz to był jego azyl, centrum dowodzenia.

Otarł strużkę potu z czoła, skrzył w prawo i wjechał w alejkę osiedlową. Zaparkował auto w garażu i wszedł frontowymi drzwiami do domu. W korytarzu zrzucił buty, marynarkę przewiesił przez poręcz schodów i powoli wspinał się po nich do sypialni. Wybrał sobie środkową



sypialnię z widokiem na tyły domu. Zdjął krawat i rozpiął koszulę. Wkroczył do przestronnej łazienki i rozebrał się do końca. Wszedł pod prysznic i zmył z siebie trudy dzisiejszego dnia. Z kuflem zimnego piwa, które przezornie wczoraj wieczorem wstaawił do lodówki, usiadł na tarasie w wiklinowym fotelu. Podłożył sobie pod plecy poduszkę i wyciągnął przed siebie długie nogi.

Pociągnął długi łyk piwa. Przygnębiony zastanawiał się nad następnym posunięciem.

Coś musi wymyślić. I to szybko. Czas uciekał. Wielkimi krokami zbliżał się ten cholerny piknik rodzinny organizowany przez zarząd.

Powinien pojawić się na nim wraz z narzeczoną, którą tyle czasu ukrywał przed światem.

Jego upór nie pozwoli oddać walki walkowerem. Z pewnością poszukiwanie narzeczonej nie okaże się znowu takie trudne. W towarzystwie, w jakim się obracał, nie brakowało pięknych kobiet. A do tego wszystkie tak samo znudzone codziennością życia, że oddałyby wiele za jakąś szaloną przygodę. A on mógł im taką zapewnić. Może nie szaloną, ale przygodę na pewno.

Ania miała dzisiaj zły dzień. Nawet bardzo zły.

Nic dziś nie szło po jej myśli, poczynając od telefonicznej kłótni z matką od samego rana, przez mandat za złe parkowanie (zatrzymała się dosłownie tylko na małą chwilę przed sklepem spożywczym), a kończąc na problemie z komputerem. Przez to praca szła jej jak po grudzie albo jak krew z nosa. Na dodatek od dwóch godzin odczuwała silny ból głowy. Zaaplikowała sobie już dwie tabletki przeciwbólowe jakieś pół godziny temu, ale jak na razie nie pomogły ani trochę.

Pomieszczenie, które służyło za biuro jej i trzem innym osobom, wzbudzało w niej dziś tak silne uczucie klaustrofobii, że miała ochotę uciec. Brakowało jej tlenu i świeżego

powietrza. Biuro nie miało klimatyzacji, co uznawała za totalną porażkę. Nie dość, że było to małe pomieszczenie, gdzie miejsca starczało jedynie na cztery biurka i szafę z dokumentami, to jeszcze nie było w nim żadnego okna, które teraz można by otworzyć na całą szerokość i odetchnąć świeżym powietrzem. Było jej tak duszno, iż miała wrażenie, że za chwilę zemdleje, a biała szpitalna farba, którą pomalowano ściany, aż kłuła ją po oczach.

Pomasowała skronie. Bardzo chciała, żeby ten dzień wreszcie dobiegł końca. Niestety jej modlitwy nie zostały wysłuchane. Czas włókł się niemiłosiernie powoli. Jeszcze nawet nie było godziny dwunastej, a ona już miała tak

serdecznie dość, że najchętniej rzuciłaby wszystko w diabły i poszła do domu.

Ból głowy, zamiast zelżeć, wzmógł się jeszcze bardziej.

Podniosła z podłogi przy biurku torebkę, położyła ją sobie na kolanach i szperała w poszukiwaniu tabletek. Weźmie jeszcze dwie. Może w końcu pomogą i przestanie jej tak dudnić w głowie, jakby przechodziło tamtędy stado słońi. Wyłuskała dwie, poknęła i popiła wystygłą już herbatą, którą zrobiła godzinę temu, i postawiła ją na biurku.

Może powinna coś zjeść? Może to z głodu ten ból?

Poza jedną kanapką zjedzoną o siódmej rano nic jeszcze nie miała

w ustach. Na następną kanapkę raczej nie miała ochoty. Sięgnęła do dolnej szuflady biurka. Miała tam swój specjalny odstresowywacz w postaci czekolady z orzechami albo batoników. Czekoladę już zjadła i została tylko princessa. Właśnie miała zabrać się do jedzenia, kiedy drzwi energicznie się otworzyły. Jej biurko stało na wprost drzwi, spojrzała więc przed siebie i zamarła. W progu stał nie kto inny jak jej eks. Jacek.

Jak dotąd udawało jej się skutecznie go unikać, co wcale nie było takie łatwe w tak małej firmie ubezpieczeniowej. Jacek pracował na innym piętrze i pewnie ten fakt przesądził o tym, że od rozstania w październiku

zeszłego roku nie widzieli się w pracy ani razu. Dziś jednak prześladował ją PECH! Gdyby za godzinę stanęła przed nią angielska królowa, wcale by się nie zdziwiła.

Bynajmniej nie spodziewała się, że z własnej nieprzymuszonej woli Jacek przyjdzie porozmawiać.

A może chce wrócić? – przemknęło jej przez myśl.

Powolnym, nieśpiesznym krokiem wszedł i stanął przed jej biurkiem. Spojrzała na niego.

Oho. Widać Jadwiga, jego nowa miłość, przerobiła go już na swoją modłę. Dawniej nosił workowate spodnie wypchane na kolanach, nijakie swetry i adidasy. Teraz zaś

dopasowane niebieskie džinsy, czarny pasek, elegancką niebieską koszulę oraz garniturowe buty z czerwonymi sznurowadłami. I do tego nażelowane włosy. Proszę, proszę, jaka zmiana! Najwyraźniej ich rozstanie wyszło mu tylko na dobre.

W napięciu oczekiwała tego, co zaraz powie. Nie tylko ona. Sześć par oczu czujnie śledziło bieg wydarzeń. Pozornie każda z koleżanek była zajęta pracą, a tak naprawdę kątem oka obserwowały każdy ruch i każdy gest, byle tylko niczego nie stracić z rozgrywającego się właśnie przed ich oczami przedstawienia. Ich rozstanie było towarzyską sensacją i wszyscy uważnie przyglądali się całej trójce.



Może jej modlitwy wreszcie zostaną wysłuchane, a to będzie najszczęśliwszy dzień jej życia?

- Posłuchaj Aniu, chciałem ci tylko powiedzieć, że na sierpniowy bankiet przyjdę z Jadwigą - powiedział bez ceregieli, prosto z mostu.

Zamrugła gwałtownie powiekami.

Najszczęśliwszy dzień jej życia to na pewno nie jest i nie będzie. Cóż, nadzieja umiera ostatnia. I właśnie umarła.

Czuła się tak, jakby wylał na nią kubeł lodowatej wody.

Boże. Dlaczego nie wzięła dzisiaj urlopu na żądanie? Ominęłaby ją ta upokarzająca wizyta.

- Twoje prywatne życie mnie nie interesuje - oświadczyła z godnością.

- Możesz sobie przyprowadzić nawet cztery Jadwigi, jeśli taka twoja wola, a mnie nic do tego.

- Cieszę się, że w taki sposób do tego podchodzisz, i mam nadzieję, że nie urządzisz żadnej sceny, tak jak ostatnim razem. - Bawił się sprzączką przy pasku.

A tak. Styczniowe kręgle. Nie chciała nawet na nie iść, ale zmusiła się. Nieobecność byłaby źle widziana. W dobrym tonie było zjawiać się na imprezach firmowych.

- Ostatnim razem nie byłam całkiem sobą.

- Więc nie pij - poradził. - Nie będziesz wygadywać głupot i robić scen.

To prawda. Upiła się. Zrobiła potworną scenę zazdrości i mało co nie

pobiła Jadwigi. Czego później bardzo żałowała. Nie dość, że zrobiła z siebie totalną idiotkę, to jeszcze stała się pośmiewiskiem w biurze. Nikt jej tego nie powiedział prosto w oczy, ale ona wiedziała swoje.

Teraz natomiast przestała nad sobą panować. Wstała z mało wygodnego fotela, okrążyła biurko i stanęła twarzą w twarz z Jackiem, a następnie uderzyła go z całej siły w policzek. Uświadomiwszy sobie, co właśnie zrobiła, wybiegła na jasno oświetlony korytarz, schodami w dół prosto do łazienki. Łzy same spływały jej po policzkach.

Jak on śmiał? – myślała wściekła. Co on sobie w ogóle wyobraża?! Po

co ta informacja, z kim przyjdzie na ten cholerny bankiet?

Wzięła kilka głębokich oddechów w nadziei, że to ją nieco uspokoi. Ale nawet tysiąc takich oddechów nie byłoby w stanie jej uspokoić.

Ukucnęła w rogu łazienki i zakryła rękami mokrą od łez twarz.

To, co teraz powiedział, ostatecznie przekreśliło go w jej oczach. Jedyne uczucie, jakie teraz do niego żywiła, to wściekłość. Czy on zawsze był taki arogancki i zbyt pewny siebie? Czy to ona była tak ślepa i tego nie widziała wcześniej?

No tak. Miłość bywa ślepa. Ale miłości już nie ma. Zostawił ją po ośmiu latach związku. Oddał mu osiem

najlepszych lat swojego życia. I co z tego miała? Została z niczym! Zdradził ją, a dzisiaj upokorzył.

Zachowywał się tak, jakby to ona była temu wszystkiemu winna. A to przecież on ją zdradził w czasie trwania związku. Zgoda, ona też nie była bez winy, ale nie zdradziła go. Oboje byli winni rozpadowi tego związku. Czy kochała? Na początku tak, i to nawet bardzo, ale teraz? Hmm... Być może było to bardziej przyzwyczajenie, przywiązanie niż miłość, a być może związek zabiła rutyna, czego żadne z nich nie zauważyło. A nowa znajomość to zawsze szybsze bicie serca, przyspieszony puls i podniecające oczekiwanie na to, co nastąpi dalej.

Dziś ostatecznie i bardzo skutecznie wyleczyła się z tej miłości.

Na bankiet postanowiła przyjść.

Przyprowadzi jakiegoś przystojniaka i pokaże tym wszystkim plotkarom, że Jacek nie jest jedynym facetem w tym mieście.

Koniec stawiania siebie w roli ofiary. Związek umarł śmiercią naturalną, ale to wcale nie oznacza, że ona też umarła. Amen.